



NASZA PRACA

DWUTYGODNIEK MŁODZIEŻY SZKOLNEJ POW.
TOMASZOWSKIEGO WYD. PRZEZ UCZELISKO UCZENNIE
PAŃSTWA POLSKIEGO W TOMASZOWIE LUBELSKIM.

№ 11 (71)

W Tomaszowie Lubelskim, 1-go lutego 1925 r.

Rocznik IV

PÓŁROCZE.

Skończyło się wreszcie półrocze, przynosząc każdemu z nas świadectwo. Dla jednych będzie ono podniecią do pracy, u innych wywoła zniechęcenie i zwątpienie we własne siły. Ten i ów powie: „Nie warto się uczyć, bo i po co? Uczyłem się przecież, tyle nocy nie przespałem, a wyniki marne“.

Nam, którzy nosimy godność ucznia polskiego, tak mówić nie wolno. Bo jeżeli mamy noty niedostateczne, w nas tylko leży tego przyczyna; jest nią niesystematyczność.

Wielu ufnych we własne zdolności odkłada pracę na później, na ostatnią chwilę, a gdy ta nadejdzie, pochłaniają szybko, chaotycznie, z wielkimi wysiłkami to, co bez zbytnich trudów można zdobyć, ucząc się z lekcji na lekcję. Skutek takiego „wkuwania“ jest tylko

jeden: nie zdobycie wiedzy — lecz ogłupianie się, powolny zanik pamięci, a, co idzie zatem, i złe noty.

Nie należy jednak łamać rąk i pogrążyć się w apatię, bo wszystko można naprawić usilną i wytrwałą pracą. Czasu jest dość jeszcze; trzeba tylko codziennie odrabiać lekcje, nie zaniedbywać się w niczem, wiedząc o tem, że najmniejszy szczegół ma swe ogromne znaczenie,—a dojdziemy do celu.

Władysław Fedorowicz

Veni, vidi, obstupui.

Niedziela. Chwila czasu nie tyle może wolnego, bo i w tym dniu każdy człowiek, a uczeń to chyba już szczególnie, ma dosyć różnych zajęć — to raczej chwila bardziej miła i nie tak powszednia, jak tydzień cały. Po spełnieniu obowiązków względem duszy i odrobieniu lekcji, pozostaje większości dosyć jeszcze czasu wolnego na rozrywki i zabawy. A jak te wolne chwile spędzić, nie potrzebujemy się bardzo wysilać i dużo myśleć. Chcesz połączyć piękne z pożytecznym, przejdź się wieczorem w taką niedzielę do gimnazjum naszego. Nie tylko rozprostujesz zgarbione plecy i odświeżysz umysł, ale często odniesiesz jeszcze większe korzyści, a tem przyjemniejsze, że zrodzą ci się one w duszy samodzielnie, piękne, wzniosłe i potężne. Patrząc tam na sztuczki różnej treści, grane przez koleżanki i kolegów, masz możliwość obserwacji i wyrabiasz sobie własne zdanie tak o grze, jak i o poszczególnych aktorach. Treść, szczególnie rzeczy poważniejszych, jak np. ostatnio odegrana „Oda do młodości“, nasuwa **cały szereg uczuć i myśli głębszych, których w codziennym życiu napewno nie mamy.**

Na kogóż bowiem nie działa postać Witolda, przemawiającego do zebranych kolegów? Jego słowa niewyszukane i nie obce, jak naprzykład Lalusińskiego, ale proste, swojskie, szczerze i z serca płynące.

Czyż nie czujemy sympatji do tej postaci, dzielnie broniącej wszystkiego, co narodowe — polskie? Poezja, szczególnie wieszczów naszych, to nie, jak zdaniem Lolusia, przebrzmiałe hasła romantyzmu. Nam tak mówić i zagrzebywać jej do archiwów nie wolno. Byłoby to pewnego rodzaju świętokradztwem, dobrowolnym obdzieraniem się z szat godowych.

W wielkiej pracy poetów naszych znajdziemy niepowседневiej wartości myśli i wskazówki, zawsze na czasie i zawsze aktualne. Czyż dziś nie mamy może takich „Lalusiów“, którzy młodość swą, zapał i energję poświęcają wyłącznie takim sprawom, jak: moda, „szyk“, elegancja i t. d. zdala od potrzeb całego narodu? Na przeczytanie zaś utworu, którego hasłem jest wspólność dążeń i pracy, szkoda im czasu. Co ich może obchodzić czyjaś nędza lub brak oświaty; im się dobrze dzieje, a to już dosyć. Pożytek, jak widzimy, z takiego wieczorku może być znaczny, a zależy on w przeważnej części od nas samych. Jaki nadamy kierunek naszym dążeniom, po takim torze one pójdą. Jeden zechce prowadzić je w krainę uczuć altruistycznych, drugi będzie zastanawiał się nad potrzebami lub obecnem położeniem Państwa i t. p. Możliwości są tu nieograniczone.

To, że nasi młodzi aktorzy popełniają jeszcze różne błędy (w większości wypadków minimalne), niech nas nie zraża. Przede wszystkim są początkującymi artystami, więc: „Non, si male nunc, et olim sic erit“.

Jan Skiba

Gośniecoś ze seeny i z za seeny.

I zabrzmiały słowa wzruszające na cześć Wieszcza!... Takbym mniej więcej zaczął, gdybym nie myślał o napisaniu czegoś mniej lirycznego. Mojem zdaniem liryczny ton nie oddałby dokładnie wrażenia, jakie wywarła na nas grających sztuka oraz występ na scenie, dla niejednego pierwszy może, przeto ograniczę się do streszczenia właśnie tego wrażenia, starając się w miarę sił o scharakteryzowanie samej gry „artystów“, uczuć ich, oraz niektórych trochę komiczno-tragicznych momentów „zakulisowych“.

Sztukę „Oda do młodości“, napisaną przez tak uwielbianego wśród nas Pana Karola Hoffmana, wystawiła, mówiąc stylem scenicznym, klasa ósma, używszy do odtworzenia pięknych postaci hoffmanowskich wybitnych sił społeczności swojej. A więc miały wkrótce zajaśnieć na deskach scenicznych takie gwiazdy, jak kol. kol. Ira, Janka, Fredzio, Redaktor, Stach monarchista, Alosza, dalej Władek długi, Stasio, sąsiad czcigodnego Grzesia, Prowiantowy, Bednarz, Dyktator, no i ten nasz materjalista—Tadzio. Komplet wraz z bajkowym suflerem Jasiem, trochę zadługim na swoją budkę, nadawał się nawet na scenę wielkomiejską. Co za postawy, co za ruchy, a wymowa... buzi dać!

Sztuka, czytana z uczuciem i zrozumieniem przez p. pro-

fesora Lipczyńskiego, wywarła wśród nas nadzwyczajne wrażenie, boć słyszeliśmy wiele, a nawet niektórzy z nas stykali się z pracą w czasach konspiracyjnych, to też niejednemu coś drgnęło w sercu, coś go poderwało, wprost pociągnęło do sztuki. Najważniejsze zrobione, bo zainteresowanie, ba, nawet zapal wzbudzony; reszta zależała od doboru sił i energii. Jak wyżej wspomniałem, siły wybrano świetnie, przeto dobre odegranie było zapewnione, chodziło jeno teraz o wykonanie w krótkim czasie. A wykonanie napotykało na pewne trudności, boć na scenie pustka, którą należało wypełnić krzesłami, obrazami i czemś podobnem, o co usilnie starali się wszyscy prawie, zwalczając dzielnie wszelkie przeszkody.

Rozpisano role, zaczęliśmy się „wkuwać“, szczególnie Fred, grający Witolda, no i po czterech próbach nadszedł dzień występu. Ponieważ miano odegrać sztukę w sobotę dla młodzieży naszej, przeto w tym dniu nie obawialiśmy się krytyki młodocianych widzów i wystąpiliśmy na scenę z minami omal nie zwycięzców. Za „kulisami“ humor nie opuszczał nas, dowcipy sypały się jak z rękawa, szczególnie przy „malowaniu“, które miało uwydatnić cudne rysy gryjących. Każdy szedł na scenę, jak na bal, nawet koleżanka Ira (cudownie wyglądała z wyczer-

Wacław Starzyk.

Kronika Obozowa.

(Ciąg dalszy).

Niedziela. Zbliża się godz. 9. Wszyscy druhowie ubrani odświętnie, stoją w szeregach i czekają niecierpliwie na rozkaz wymarszu.

Nakoniec komendanci chorągwi dają znak, na który drużynowi wydają rorkaz: „Drużyna — marsz!“

I szły oddziały za oddziałami, a w blaskach roziskrzonego słońca trzepotały radośnie sztandary, a z szumów ich rosła jakaś potężna—pieśń zwycięstwa. Serca nasze rosły, potężniały, duma narodowa je rozsadzała.

Zdawało się nam, że jesteśmy rycerzami, idącymi na bój ze złem.

Nie dążył jednak ten hufiec młodych bojowników na walkę.

Spieszył on ukorzyć się u stóp Stwórcy Wszechrzeczy i prosić Go o siłę i wsparcie dla siebie.

nionemi wprawna ręką p. profesora Bachowskiego brwiami) nie odczuwała „tremy“, a, należy zaznaczyć, jest nerwową. Fredzio stale strofował Lalusia, by był cicho, chociaż ten nic nie mówił, bo zapomniał wśród rozgardjaszu stałego o roli Lola, myśląc tylko o krzesłach, tłuczkach, choince, obrazach i innych rekwizytach. Stach - monarchista wciąż wąsikami sumiastemi poruszał, bo miał wrażenie, że odpadną mu. Wyglądał, jak Jojne z sukieniec tomaszowskich, ale to go nie wzruszało, bo roli jeszcze nie umiał i nią tylko był zajęty. A koleżanka Janka wszystkich zawzięcie malowała (uchodzi za dobrego malarza w naszej klasie), czy trzeba było, czy też nie. Doskonale ucharakteryzowała Grzesiowego sąsiada, który ze swojemi rumieńcami stał się prawie zabójczym, z czego był bardzo dumny. Prowiantowy i Bednarz wciąż pudrowali się, bo to miało dodać im uroku, a Władzio długi stale poprawiał muszkę, chcąc godnie wystąpić. Słowem każdy był zajęty swoją osobą, mało troszcząc się o obecnych, chyba tylko w tym celu, by przyczepić łatkę bliźniemu i uśmieć się serdecznie. Szumiało za „kulisami“, prawie jak w ulu, boć młodzi występowali.

Wtem dzwonek. Zwarzyły się trochę humorki na myśl o mającem nastąpić przedstawieniu, lecz młodość wzięła górę nad

Zgromadziły się już wszystkie drużyny przed ołtarzem, a niedługo potem rozpoczęła się Msza Święta.

Z tysiąca piersi unosiły się modły, jak pieśń potężna. Nie ostały się przed nią bramy niebios. Potęgą swą dotarła do samego Boga. Snadź miłą się stała Panu nad Pany, bo spojrział na młodych bojowników mile, — spojrzenie to zamienione w złociste promienie słońca spotęgowało jego jasność. Rzuciło przeto tysiącem nowych promieni na twarze, wpatrzone w niebiosą. Tak stali ci mali harcerzykowie, oblani potokiem słońca, podobni do jakichś rycerzy nieziemskich.

W dali na wzgórzu, przy ołtarzu, jarzącym się od świec, odprawiał Sługa Boży Mszę Świętą.

Od czasu do czasu przelatywał pośród szeptów modlitw srebrzysty głos dzwonka, na którego zew pochylały się sztandary.

Po Mszy Świętej miał kazanie ks. J. Mauersberger.

Potem znów wracały drużyny w takim samym porządku do swych obozów.

Po obiedzie wyruszyły drużyny do Agrikoli, aby tam przywitać dh. St. Wojciechowskiego i w Jego obecności popisać się

tremą i oto znowu śmiech zdrowy a szczerzy rozlega się przy wtórze jakowejś piosenki. Ponownie nieznośny Łukasz wstrząsnął na chwilę nerwami, dzwoniąc przeraźliwie, ale tylko na chwilę, bo wnet przestano robić sobie wiele z Łukasza i jego dzwonka. Trzecie rozgłośne dzwonięcie zastało nas na posterunkach, że tak powiem, a więc: Helenka na stoliku z wdzięcznie przechyloną główką, obok Stach, powtarzający machinalnie rolę swoją; w budzie — sufler skulony we dwoje, a za dekoracjami — cały komplet wspaniały.

Kurtyna powoli, z jakimś namaszczeniem ukazuje oczekującej publiczności młodej wewnątrz sceny, przystrojone skromnie, ale gustownie, jak wypada na mieszkanie studenta, w którym gości jego siostra. A więc stół, obrusem nakryty, obok krzesła (i to miękkie), dalej fotele dwa, za nimi snopy słomy, przy oknie stolik, nad oknem—Wieszcz, swym łagodnym wzrokiem obejmujący miłośnie wszystkie te młode postacie. Czysto, przytulnie w komnacie, boć Helenka jest dobrą gospodynią.

Zaczyna się gra. Jak grano, niech tem zajmie się kolega Zbyszek, ja wracam do samych „artystów“.

Mimo, że Tadzio napisał w programie, by Stach nie

już to zabawami, już to śpiewem lub ćwiczeniami gimnastycznymi.

Podczas przemarszu przez ulice dziwiła się cała Warszawa, skąd się tyle tej młodzieży nabrało? Idzie, idzie i idzie, a końca pochodu nie widać. A jaka mina u tych harcerzy; nie wiem, czy zwyciężkie wojska Cezara szły tak dumnie, jak oni. Śpiewali zaś tak głośno, że się aż mury kamienic trzęsły i tynk z nich odpadał.

Przyszli wreszcie do parku Sobieskiego i ustawivszy się w szpaler po obu stronach alei, czekali w milczeniu na przybycie P. Prezydenta.

Wreszcie ukazał się w otoczeniu konnej drużyny harcerskiej. Na ten widok każdy, nie zważając nawet na komendę, prostuje się, jak może i zwraca głowę w prawo, aby godnie przywitać tak wielce dostojnego Dha. Cisza taka zapanowała, że zdawało się, iż w tych wszystkich piersiach dech zamarł.

Potem poszły drużyny na plac zawodów. Tam już się skończyły zawody sportowe, a drh. Prezydent rozdawał nagrody zwycięzcom.

Po rozdaniu nagród rozpoczęły się popisy poszczególnych drużyn. Najpierw wystąpiła drużyna angielska i popisywała się śpiewem i zabawami.

ściany, starając się o ile możliwości uczynić się niewidocznym dla oczu Wojtka.

Parobek, ukończywszy swą czynność, zwrócił się ku wyjściu. Otarł się prawie o mnie, a wyszedłszy na dwór, zaparł za sobą drzwi i zamknął je na klucz.

Znalazłem się tedy sam pośród ciemności i gromady bydła. Duszno tu było i parno, zapach gnoju nieprzyjemnie drażnił nos, który jednak szybko pogodził się z losem. Nie mogłem jedynie oswoić się z lekkim uczuciem strachu, jakiego doznałem w chwili, gdy Wojtek przekręcał klucz w zamku. Zostałem więc uwięziony w oborze. Przyszedłem tu z zamiarem wysłuchania rozmowy bydła, ale bynajmniej nie spodziewałem się tej możliwości, jaka teraz zaszła. Towarzysząca mi dotąd odwaga i energia pierzchły, powstała zaś chęć ucieczki i to jak najrychlejszej. W nadziei, że Wojtek w pośpiechu nie domknął drzwi, po omacku szukałem ich, lecz w ciemności nie wiedziałem, w którą stronę się skierować. Począłem tedy na ślepy traf kroczyć powoli tam, gdzie się ich spodziewałem. Nagle zaczepiłem o coś ogromnego i jak długi rymnąłem przez przeszkodę na drugą jej stronę. Podniosłem się po chwili, cały uwalany w gnoju i zły do najwyższego stopnia.

— „Ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła“ — głosi stare przysłowie, a ja dopiero teraz przekonałem się, ile w tem prawdy. Uczyniwszy tedy w duszy najsolenniejsze przyrzeczenie, że już nigdy ciekawym nie będę, począłem szukać wokoło rękoma przyczyny, która spowodowała tak przykry dla mnie wypadek. Namacałem coś, co mi przypominało zwierzęcy grzbiet. Tak też w rzeczywistości było, był to bowiem kościsty, kosmaty grzbiet krowi, którego właścicielka leżała sobie spokojnie i jeszcze spokojniej przeżuwała pokarm. Nie chcąc, by mię spotkał podobny los poraz drugi, zaniechałem na pewien czas zamiaru odzyskania wolności, postanowiwszy czekać, aż świtać zacznie. Wyszukałem suche miejsce przy żłobie, a ulokowawszy się przy mej rogatej sąsiadce, objąłem ją rękoma za kark. Pogładziłem krówkę pieścotliwie po wilgotnym pysku i z czułością przytuliłem się do jej ciepłej sierści. Nie obawiała się wcale mego sąsiedztwa, lecz spokojnie przeżuwała pokarm, a przez nozdrza równomiernie wyrzucała ciepły dech. Ogarnęła mię senność nieprzemierzona i znużenie wielkie. Niemoc coraz większa mną owładła, a powieki ciężły jak ołowiane i mimo woli poczynaly się bezwładnie kleić. Zrezygnowałem wkońcu z czuwania, przytuliłem się jedynie silniej do szyi bydłęcia, uszy zwróciłem w stronę